

Straż ogniowa jest już w Ostrowi, ale szkoły nie ma w Zaszkuwie, wisielec w Paproci, dobroczyńcy zostawiają skarb i znikają w Małkini, Kurpie stroją się po ślachecku

Wstępem, przypisami i ilustracjami opatrzył Jerzy Madzela.

Ilustracja wyróżniająca opracowanie: 11 lipca 1935 r. stacja kolejowa w Małkini.

Delegacja harcerzy ziemi ostrowskiej w drodze do Spały na Jubileuszowy Zlot ZHP.

Źródło: Muzeum Kresów i Ziemi Ostrowskiej w Ostrowi Mazowieckiej.

Dzielni mieszkańcy Ostrowi, widząc, jak wielkie straty czerwony kur im wyrządza, gdy nie ma komu gasić albo gdy na ratunek wszyscy ofiarnie się rzucają, lecz nie ma w tym ni ładu, ni porządku, rozpoczęli u władz starania o zgodę na utworzenie straży ogniowej. Pozwolenie uzyskali, a straż właśnie powstała.

Ostatnio odwiedziliśmy zachodnie kresy obszaru naszych regionalnych zainteresowań, po czym zdaliśmy relację o wydarzeniach nad Liwcem. Dzisiaj zaś zawitamy do Zaszkuwa, położonego na przeciwległych, bo wschodnich krańcach naszego mikrokosmosu. Roztacza się stamtąd piękny widok na rzekę Nurzec, ale my nie mamy czasu na kontemplację krajobrazu, gdyż zajmujemy się codziennymi bolączkami odwiedzanych społeczności. W miejscowości tej już nie piją trunków wysokokowych, co samo w sobie wydaje się sensacją. Znaczą się, jak dokładniej podrapać, to niektórzy piją, ale czynią to w zaciszu domowym, zatem jest to ich prywatna sprawa. Otwartego pijaństwa jednak nie ma, więc rzecz jasna nie ma też złodziejstwa. Bieda jest tylko ze szkołą, bo choć to wieś niemała, to na utrzymanie takiej pełnej i oficjalnej nie stać gospodarzy.

W wiosce Paproć wyrobnik się obwiesił i może dałoby się nieszczęsnego uratować, ale nikt z pomocą nie pośpieszył, bo wszyscy się bali, że będą ciągnięci po posterunkach i sądach. W innym miejscu furman nie chciał się zatrzymać i podejść do leżącego przy drodze, by sprawdzić, czy tenże nie potrzebuje ratunku. Stało się tak, pomimo iż pasażerowie tegoż furmana, a konkretnie sędzia i doktor, ludzie skądinąd na ludzką krzywdę wrażliwi, bardzo na to nalegali. A może by tak te ważne osoby z bryczki zeszły i same się do leżącego pofatygowały, zamiast wytykać wozakowi ciemnotę i znieczulicę?

Do Jana Morawskiego, gospodarza mieszkającego nieopodal miejsca, gdzie Nurzec toczy swe wody, zgłosili się poszukiwacze skarbów, prezentując bardzo precyzyjną mapę (niedawno opisywaliśmy podobny przypadek, do którego doszło nad Liwcem, ale tam mapy nie mieli). Skarb, w postaci szkatułki pełnej złotych monet został bez trudu odnaleziony. Wspaniałomyślni poszukiwacze zostawili cały ziemny depozyt Morawskiemu, zadowolając się zabezpieczeniem, stanowiącym ułamek wartości znaleziska. Po czym pojechali do Małkini i do dziś nie powrócili.

Kurpie gonią za modą. Nie w smak im już stroje ludowe i zadają szyku po pańsku. Wzory czerpią głównie z pruskich żurnali i niejednego berlińskiego elegancika patrzy na nich z zazdrością.

Spełniając życzenia wyrażane przez licznych czytelników, kontynuujemy publikację naszego serialu o perypetiach ogrodniczki Moniki.

Tym razem znajomy pani Moniki zmuszony został do wykonania pięciu kursów z przyczepką między Warszawą, a jej nadbużańskimi włościami. Byłoby tych kursów nawet więcej, ale nasza sympatyczna rozmówczyni postanowiła skorzystać z oferty sklepów prowincjonalnych. Jej debet na koncie zaświecił rażącą oczy purpurą. Nie było odwrotu – żegnajcie hotele, baseny, restauracje. Nie znaczy to, że nie miała ochoty na jakiś daleki wjazd, pozostało więc cierpliwie tłumaczyć sobie i znajomym światowcom, że nie ma to, jak urlop we własnej chatce pośród lasów nad Bugiem, że trzeba mieć nie po kolei w głowie, żeby łuc się samolotami nad jakieś Morza Czerwone, Karaibskie i inne słonowodne akweny.

Na pierwszy ogień poszedł skalniak. Ponownie pomogli jej miejscowi specjaliści, spożywający trunki w przyjętej w naszym kraju normie. Zwieźli piasek, po czym na wskazane przez panią Monikę – zdawałoby się przypadkowe, a w rzeczywistości starannie wybrane – miejsca, powrzucali głązy. Do tego mchy, byliny i jakieś drobne krzewinki. Po zakończonej pracy nasza ogrodniczka spojrzała na swe dzieło, a widok był... mocno rozczarowujący. Wyglądało to niczym kupa bezładnie zrzuconych kamieni. Na szczęście, z pociechą pospieszyli sąsiedzi, oświadczając, że wystarczą ledwie 3-4 lata codziennej troski i zabiegów, a skalniak będzie, jak się patrzy. Perspektywa 3-4 lat kolejnych już ciężkich robót zdała się mało zachęcająca.

Następnym etapem ogrodowej batalii była bitwa o trawnik. Przez około tydzień usuwała z ziemi kamienie, kapsle, jakieś szkiełka, gwoździe, połamane widelce, druty, przegniłe buty, puszki po piwie oraz po konserwach, a nawet kawałki rozbitego sedesu. Nie miała pojęcia, skąd się to wszystko wzięło, czy to ślady kultury przeworskiej, czy tylko pijackiej? A może to ziemia rodzi po prostu kapsle, kamienie, puszki i inne śmiecie? Przeczytała, że koniecznym etapem regeneracji trawnika jest jego wertykulacja. Zadzwoiła po ekipę z profesjonalnym, hałaśliwym sprzętem. Po kilku godzinach panowie zamienili jej niby trawnik w pole orne, na wierzchu zaś tego pola pojawiła się masa nowych kamieni, kapsli, jakichś szkiełek, gwoździ, połamanych widelców – a może to nie były nowe, tylko te stare powróciły? Ponownie kilka dni zbierackiej aktywności. Po przeczytaniu dziesiątek poradników pani Monika wiedziała, że dla powstania angielskiej murawy, glebę należy wymieszać z całkiem inną glebą, humusem, a następnie wzbogacić nawozem, wszystko wyrównać, tak by było gładkie jak stół, trawę zasiał, ziemię zwalcować... a może najpierw zwalcować, a potem zasiał? Pani Monika już dobrze wszystkich detali nie pamiętała. Obliczyła sobie, że pracując codziennie po 10 godzin, upora się z tym wszystkim do połowy grudnia. Ponownie zdała się na miejscowych fachowców, ale, że wszyscy ich potrzebowali, to czas oczekiwania na wykonanie usługi był coraz dłuższy. W międzyczasie postanowiła zrobić we własnym zakresie, wszystko to, co potrafi i na co sił jej starczy. Po kolejnym dniu kilkunastogodzinnej mordęgi stanęła przed lustrem i spojrzała. Zobaczyła odziane w poszarpane łachmany, brudne, pokryte zmierzwionym włosiem, przerażające monstrum, o ciele pełnym zadrapań i bąbli po ukoszeniach. W co ja się zamieniam – pomyślała – tak nie wyglądają nawet moi zdziczali sąsiedzi.

Ta przykra konstatacja nie zmieniła jednak nic w jej postępowaniu. Nadal prawie od świtu do nocy pochylała się, klęczała, siedziała w kucki lub na stołeczku, leżała na trawie, ot po prostu zajmowała pozycję najwygodniejszą do wykonania jakiejś dłubaniny w ogrodzie. Zmęczenie, jakie odczuwała wieczorem, zaczęło sprawiać jej wręcz satysfakcję i po skończonym dniu pracy, pomimo bólów w krzyżu, z uśmiechem na zakurzonej twarzy myślała – Ale się dzisiaj naharowałam. Zauważyła, że praca w ogrodzie stała się dla niej niczym narkotyk. Zaczęła odczuwać wręcz fizyczne cierpienie, gdy przynajmniej przez godzinkę dziennie nie potyrała w ogródku.

Nie miała nawet czasu na oglądanie telewizji, zwłaszcza gdy odkryła, że rośliny mają się najlepiej, gdy są podlewane o piątej rano. Dość regularnie oglądała jedynie prognozy pogody, ale i ta aktywność w końcu ją znużyła. Zaczęła mieć po prostu dosyć pięknych prezenterek, które choćby kropla deszczu nie spadła od miesiąca, a cała przyroda wołała o życiodajną kroplę wody, to uszczęśliwione ogłaszały, że jutro będzie kolejny upalny, słoneczny i bezdeszczowy dzień. Zresztą zauważyła, że dla ogrodu aura nigdy nie jest idealna. Zawsze pada za dużo lub za mało, a gleba nieustająco jest za sucha, albo za mokra. Pogoda była najczęstszym tematem sąsiedzkich dysput. Początkowo, przysłuchiwała się tylko z szacunkiem, bo ludzie za płotem to doświadczeni, najprawdziwsi ogrodnicy, którzy każdą zmianę pogody odczuwali w swych kościach. W końcu zaczęła wtrącać i swoje trzy grosze: „Oj chyba lunie”; „Musi popadać”; „Marzę o jakimś kapuśniaczkę, a niech i tydzień potrwa”; „No, dosyć tego padania, wszystko pognije”; „Ależ to słońce pali, jeszcze trochę a wszystko w proch się zamieni”; „Słyszałam, że idzie jakiś front burzowy, oby tylko wichur czegoś nie wyrwał i nie połamał”; „Wspaniale polało, szkoda, że nie dłużej”; „W sąsiednim powiecie doszło do oberwania chmury i spustoszeń w uprawach”. Słyszając jej eksperckie uwagi, sąsiedzi z coraz większym uznaniem kiwali głowami, jakby zaczynali akceptować swą sąsiadkę, co wcale jej nie cieszyło, bo przecież była zupełnie inna od tych dziwadeł. Korzyść była jednak z tego taka, że została dopuszczona do tajemnic ogrodniczej wspólnoty. Mogła teraz chodzić od sąsiada do sąsiada, by oglądać wypielęgnowane okazy. Każdy „tylko jej” zdradzał najskrytsze sekrety, dzięki którym odniósł ogrodnicze sukcesy i szeptem przekazywał swą tajemną wiedzę. Wiedza ta z reguły stała w sprzeczności z książkową i z zasady nie pokrywała się z mądrościami zasłyszczanymi od kolejnego ogrodnika amatora. Postanowiła jednak przywiązywać większą wagę do porad ludzi od lat ryjących w ziemi, a ograniczyć ilość fachowej lektury.

Wreszcie nadszedł długi weekend i zjechał sznur samochodów. Owszem, czuła radość z tak licznych odwiedzin, ale i pewien niepokój. Coś było nie tak. Nie widziała wielkiego sensu w dyskusjach o nowej fali w kinie irańskim ani w niekończących się rozmowach o wątkach feministycznych w twórczości jakiegoś nowo odkrytego pisarza. Może dlatego, że w kinie nie była już od ponad roku, a jej czytelnictwo ograniczało się do książek, broszur i prospektów traktujących o ogrodnictwie. Z jeszcze większym niesmakiem niż ostatnio patrzyła na stadko małych Hunów, tratujące wszystko, co popadnie oraz na psa parującego z dumą z właśnie wyrwanym krzaczkiem.

Następnego dnia, wyjęła ze świeżo urządzonego składziku wszystkie narzędzia, aby po śniadaniu zaproponować gościom, spędzenie godzinki lub dwóch przy wspólnej pracy w ogrodzie. Nie chodziło tylko o to, żeby choćby częściowo zlikwidować ślady zniszczeń, na przypominającej teraz pole bitwy parceli. Chciała po prostu, aby jej goście, podobnie jak ona zaznali radości, jakiej przysparza praca na świeżym powietrzu. Już widziała oczami wyobraźni, jak dzieci sprzeczają się, które weźmie grabki, a które motyczkę, wzywane zaś na obiad odkrzykują – Jeszcze chwila, jeszcze troszeczkę, zostało mi maleńkie poletko do pielienia. Panowie będą z pewnością czekali w kolejce, byleby kwadrans pokosić. Na koniec wszyscy zgodnie skonstatują – Ach jakże to twórcza i przyjemna praca.

Tymczasem, słysząc jej propozycję, wszyscy jak jeden mąż sięgnęli po telefony, przypominając sobie, że mają do załatwienia sprawy niecierpiące zwłoki. Sznur samochodów opuścił podwórko, a jej pozostało tylko machać ze smutkiem na pożegnanie. Wyglądało na to, że przyjaciel jej ubywa, a wrogów wręcz przeciwnie. Toczyła nieustającą wojnę z chwastami, gaśienicami, mszycami a przede wszystkim z monstrualnych rozmiarów, egzotycznymi

ślimakami – każdy dzień był nową bitwą i to często nocną, bo to wtedy najlepiej jest tępić ślimaki.

Zbliżał się koniec sezonu. Dokonała lustracji swej posiadłości. Z zadowoleniem spostrzegła, że niegdyś pustynno-stepowa przestrzeń miejscami wcale gęsto pozarastała. Doszła nawet do wniosku, że trzeba będzie, to trochę przeredzić, a część roślin przesadzić.

Ciąg dalszy nastąpi.



[„Gazeta Świąteczna”, nr 36 z września 1881 r.]

**Nowe straże ogniowe** ochotnicze zawiązują się teraz, po otrzymaniu pozwolenia od władzy wyższej, w miastach powiatowych: Ostrowi w guberni Łomżyńskiej i Garwolinie w gub. Siedleckiej. Szczęść im Boże!



Ostrow Mazowiecka ul. Pocztowa, 1940 r.,  
Źródło: Polska na fotografii *fotopolska.eu*.

[„Gazeta Świąteczna”, nr 36 z września 1881 r.]

## LISTY DO GAZETY ŚWIĄTECZNEJ

Z parafii **Nurskiej** w gub. Łomżyńskiej.

Czytamy w gazecie bardzo dużo ciekawych dla nas rzeczy i przekonywamy się, że choć pomiędzy nami wiele jest złego, ale i dobre coraz więcej się szerzy. Chcę i ja podzielić się dobrą nowiną z czytelnikami Gazety Świątecznej. We wsi Zaszkanie, gminie Nur, gub. Łomżyńskiej, jeden z wyrobników Stanisław Radomski, wystarawszy się o pozwolenie u władzy, wystawił bardzo piękny krzyż dębowy, pomalowany, który nam przypomina wielką tajemnicę wiary naszej świętej, tajemnicę odkupienia i przypomina każdemu z nas najwyższy cel życia. To też już przy poświęceniu tego krzyża dnia 24 lipca my wszyscy obecni [na] tej uroczystości przyrzekliśmy Panu Jezusowi nigdy nie pić gorzałki, bo ona niejednemu wydarła i gospodarkę, i niebo, a iluż to przez nią siedzi po więzieniach, przynosząc dla swych rodzin wstyd i hańbę.

Wieś nasza jest dosyć duża, bo ma 26 gospodarzy kilkunastomorgowych, ale pijaków nie ma; jest wprawdzie paru, co piją, ale tak, żeby ich nikt nie widział, lecz da Pan Bóg, że od dziś i oni wcale pić nie będą; z wesel naszych zaś i chrzcin dawno już gorzałka jest wygnana.

Wieś Zaszkanie jest jedną z najpiękniejszych w okolicy, wszystkie prawie domy i zabudowania ma nowe, w każdym domu jest podłoga, ściany wybielone, obrazy świętych piękne, bo ksiądz ciągle nam powtarza, żebyśmy mieli niedużo obrazów, ale piękne. Najładniejszą ozdobą wsi naszej jest to, że przy każdym domu są ogródki owocowe i to dosyć duże, bo wystarczą i na własną potrzebę i pozwalają każdemu gospodarzowi sprzedać za kilka złotych owoców. Nikt też u nas szkody nie robi w ogrodach, a nawet nie słychać, żeby cokolwiek komu zginęło. Dzięki Bogu od klęski kradzieży jesteśmy wolni.

A teraz mam prośbę do pana pisarza gazety. Dzieci nasze bardzo chętnie uczyły się czytać, ale cóż – kiedy do szkoły mamy dziewięć wiorst, to niepodobna ich tam posyłać. Otóż chcielibyśmy wiedzieć, jakie jest prawo do zakładania nowych szkół i czy sama wieś może przyjąć nauczyciela i zapłacić mu tyle, ile się z nim ułoży dobrowolnie? Bo na szkołę zupełną nas nie stać, gdyż trzeba zaraz i dom budować, i pensję płacić dużą, a tu i żytko nie bardzo się urodziło, pszenicy mamy niewiele, a owies i jęczmień choć piękne, ale za nie niewiele grosza się zbierze, na grochy zaś, które dużo obiecywały, spadły mszyce, więc i z nich niewielka będzie pociecha.

*Jan Liwski, parafianin Nurski.*

[„Gazeta Świąteczna”, nr 27 (183) z 6 lipca 1884 r.]

**Nieludzkość z ciemnoty.** Z powiatu Ostrowskiego, guberni Łomżyńskiej, o takim wypadku pisze do nas „Jakób”. U pewnego gospodarza we wsi Paproci siadają niedawno wszyscy do wieczerzy, a tu jednego parobka brakuje między czeladzią, który dopiero co wyszedł z izby. Idzie ktoś go szukać i znajduje w stajni, ale wiszącego na powrozie. Skąd mu taki szwał przyszedł

do głowy, żeby życie sobie odbierać – nie wiadomo. Gdy go jednak w stajni znaleźli, musiał żyć jeszcze; trzeba było tylko sznur przeciąć, pętlę zdjąć z szyi i ocucić wisielca. Ale ciemni ludziska nie zrobili tego, tylko posłali po wójta na drugi koniec wsi. Strach im było ruszać wiszącego, żeby potem nie mieć odpowiedzialności przed sądem. Juźci, że zanim wójt przyszedł, to z wisielca dusza uleciała. Oj ciemnota, ciemnota! Jakaż może być odpowiedzialność za ratowanie człowieka od śmierci? Jeśli kogo sąd ma pociągnąć do kary, to już prędzej tego, kto mógł nieszczęśliwego uratować, a tymczasem pozwolił mu umrzeć.

A oto i drugie podobne zdarzenie. Jechali raz wózkiem od gospodarza wynajętym sędzią i doktor, a słońce paliło tego dnia mocno. W tem widzą – leży jakiś człowiek przy drodze, a czapka spadła mu z głowy.

– Stójcie! – zawołał doktor na gospodarza. – Zobaczcie czy ten człowiek żyje.

– Nie chcę ja, panie, biedy się nabawić. Może nie żyje, to mnie jeszcze do sądu pociągną. – Tak odpowiedział gospodarz i konie jeszcze lepiej zaciął batem.

Ale szczęściem jeden z podróżnych krzyknął tak mocno, że ów leżący człowiek się obudził. Gdyby go byli śpiącego na takim słońcu zostawili, toby z pewnością potem nie wstał.

Iluz to ludzi umiera przez tę nieszczęsną ciemnotę!

[„Zorza” nr 18 z 21 czerwca 1900 r.]

**Oszustwo na stary sposób.** Do Jana Morawskiego, w okolicach Ciechanowca w guberni łomżyńskiej, zgłosiło się niedawno dwóch podróżnych z oświadczeniem, że wiedzą o skarbie, ukrytym od bardzo dawna na polach w tej okolicy, a miejsce to nawet na planie mieli oznaczone. Morawski zgodził się chętnie na poszukiwania, bo podróżni obiecali mu połowę znalezionej skarbu. Jakoż w nocy rozpoczęli kopanie i traf tak zrządził, że skarb istotnie znaleziono na gruntach Morawskiego. Wydobyto mianowicie z ziemi pudełko wypełnione... monetą. Uradowani wielce podróżni polecili Morawskiemu jechać do Ciechanowca po gorzałkę, dając mu rzekomo pieniądze z owej wydobytej szkatułki, jako dowód, że pieniądze są prawdziwe. Po powrocie Morawskiego oszuści oświadczyli, że zostawiają cały skarb na przechowanie, żądają zaś tylko 400 rubli, jako zadatek swojej połowy. Otrzymałszy żądane pieniądze, podróżni pojechali do Małkini i zniknęli bez śladu. Morawski przekonał się niebawem, że pieniądze złote, które zostawili mu nieznajomi dobroczyńcy w wykopanym skarbie, są zwykłymi błyszczącymi blaszkami, używanymi przy grze w karty. Oto jak wychodzą ludzie, nieroztropnie ufający byle komu.



## MORALNOŚĆ I UMORALNIENIE KURPIÓW.

*(Dalszy ciąg).*

Rozdrobnienie się osad wpłynęło również na zmniejszenie hodowli owiec, a zatem i wyrobu samodziałów, w jakie Kurpie dotychczas włącznie się ubierali. Materiał dostarczała mu osada, a na obrobienie materiału i sporządzenie z niego ubrania używał on czasu wolnego od zajęć rolnych. Samodziały zatem stanowiły rodzaj przemysłu rolnego, z którego choć Kurp niewiele miał dochodu, zaspakajał jednak najgłówniejszą swoją potrzebę, zyskiwał odzież i tym sposobem zaoszczędzał najważniejszy wydatek. Przed rozdrobnieniem się osad, Kurp posiadając więcej gruntu, mógł więcej zostawiać ugorów i w ten sposób mieć paśnik dla owiec, a przy mniejszej ilości gospodarzy, łatwiej im było zmówić się na pozostawienie ugorem pola w jednej i tej samej stronie swoich gruntów i tak wszyscy mieli wspólny paśnik dla trzody owiec z całej wsi. Obecnie, wskutek rozdrobnienia się osad, ugorów jest coraz mniej, a i te niewielkie przestrzenie rozrzucone są w różnych stronach pól, poprzedzielane różnego gatunku zbożami, gdyż przy większej ilości właścicieli osad, trudniej im zmówić się na jedno. Hodowla więc owiec coraz więcej jest utrudniona.

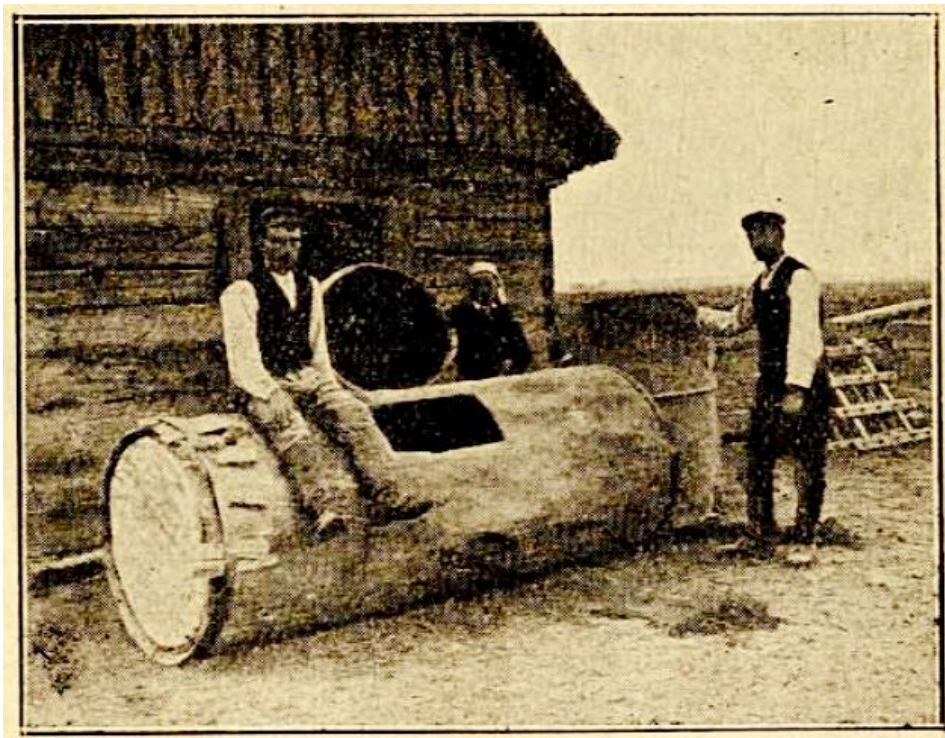
Brak wełny uniemożliwia wyrób samodziałów i Kurp zmuszony kupować ubranie, płaci i za materiał, jaki dawniej miał darmo i za cudzą pracę, marnując swą własną, nie mówiąc już o wyczyszczeniu, jakiemu podlega przy nabywaniu odzieży. Kobiety na Puszczy jeszcze prawie wszystkie bez wyjątku chodzą w ludowych kurpiowskich ubiorach, jak i mężczyźni starsi, mieszkający w głębi Puszczy. Młodszy za to bywalcy coraz liczniej zarzucają samodziały i stroją się w pruską tandetę, zwłaszcza na krańcach Puszczy, coraz jest to widoczniejsze. Bez wątpienia, że jedną z głównych przyczyn zarzucania samodziałów jest moda, jaką młodszy Kurpie przynoszą ze swoich zagranicznych wędrowek, jednakże bardzo ważnym jej sprzymierzeńcem w narzucaniu „ślacheckiego ubrania” Kurpiom, jak oni je nazywają, jest coraz większa niemożność hodowania owiec na rozdrobnionych osadach.

Czysto miejscową, puszczańską przyczynę zmniejszania się dochodów kurpiowskich, a tym samym potęgującą przełom ekonomiczny, jaki Kurpie obecnie przechodzą – stanowi zupełny prawie zanik bartnictwa, jakie Kurpie od wieków uprawiali, jak to widzimy z tego, że od bartnictwa, jednego z najgłówniejszych zajęć kurpiowskich, odwieczne obyczajowe prawo puszczańskie – prawem bartnem nazwano. Dopóki bory były większe, puszcze przepaściste i dostęp do nich wskutek bezwartości drzewa łatwiejszy, Kurpie w głębiach leśnych mieli liczne barcie, z których dość znaczne zyski ciągnęli. Zwłaszcza lasy na moczarach i suchsze na tych ostatnich pagórki, t. z. przez Kurpiów „grundziki” dostarczały niewyczerpanego pożywienia dla pszczół, będąc podszyte bogatą i najróżnorodniejszą roślinnością, jak to widzimy z pozostałych ich resztek, na których rosną brzozy i lipy, dzikie jabłonie i grusze, nieprzebyte gąszcze malin, porzeczek, różnych kwiecistych krzewów, wreszcie całe kobierce konwalii i innych przeróżnych leśnych kwiatów i ziół. Z wykarczowaniem znacznych ilości lasów, wszystko to znikło, powstałe na moczarach łąki wskutek nieosuszania ich rowami coraz więcej się zabagniają i porastają mchami i różnymi bezwonnymi błotnymi roślinami, a nieocienione grundziki, spopielają się na słońcu. W ogóle też z dojściem drzewa do cen, dostęp do borów

został utrudniony, bartnictwo więc skurczyło się zupełnie i skupiło koło chat po wioskach podtrzymywane jedynie przez wrodzone zamięłowanie Kurpiów, którym trudno rozstać się z ulubionym zajęciem. Prawie nie ma domu na Puszczy, przy którym nie byłoby kilku, kilkunastu pni i więcej. Lecz niestety coraz więcej pni tych jest pustych i nieraz na kilkadziesiąt stojących przy chacie drzwi, zaledwie w kilku są pszczoły, jak to widzimy ze sporządzanych spisów inwentarza po zmarłych Kurpiach i z podziału majątku.

Z dojściem drzewa do cen coraz więcej zanika drugie źródło dochodu, jakie Kurpie ciągnęli ze sprzedaży koszyków i opałek, wyrabianych z korzeni leśnych, Naturalnie, że to marnowanie drzewa mogło mieć miejsce tylko wówczas, kiedy drzewo nie miało żadnej wartości. Wycinano więc korzenie po borach i wyrabiano z nich kosze i opałki, znane ze swej dobroci na wszystkich okolicznych jarmarkach. Obecnie to marnotrawstwo drzewa już się skończyło, wycinanie korzeni jest surowo wzbronione i całe niemal wioski, które zajmowały się wyrabianiem koszyków i opałek są zagrożone zupełną utratą znacznego dla siebie dochodu. (C. d. n.)

*Dominik Staszewski.*



Toki – kurpiowskie drewniane beczki do przechowywania zboża<sup>1</sup>.

---

<sup>1</sup> Adam Chętnik, *Kurpie*, Kraków 1924, ryc. 9, s. 49.